

J. H. Rosny.

Podwójne życie Piotra de Givreuse.

(Z francuskiego tłumaczyła M. J. MIGOWA)

Na drugim końcu baraku lekarz asystent dawał jakieś porozumiewawcze znaki.

— Czy pan masz brata?

Wyraz zdziwienia przemknął po jego bladej twarzy.

— Brata?... ja?...?

— Tak jest, brata, który pana przypomina rysami twarzy i postawą?

— Jestem jedynakiem.

Z piersi rannego wydobyło się długie, głębokie westchnienie. Powieki zadrgały silniej i opadły na zamglone oczy.

— To okropne! — rzekł Herbelle, przesuwając dłonią po czole.

— To nie jest wcale okropne — odpowiedziała pielęgniarka i uczyniła znak krzyża na piersiach i czole. — To jest wyższa rzeczywistość.

Naczelnny lekarz spostrzegł teraz znaki, jakie mu dawał jego asystent. Szybko skierował się w głąb baraku. Drugi Givreuse miał jeszcze oczy otwarte, ale już także powleczone mgłą.

— Pańskie nazwisko brzmi: Piotr de Givreuse? — krzyknął prawie Herbelle.

To pytanie obudziło rannego. Odpowiedział:

— Tak... Piotr de Givreuse...

— Urodzony w Avranches, w r. 1889?

— Tak...

— Czy pan masz brata?

Widać było na twarzy rannego wielki wyśięk myśli. Sennym głosem zaszemrał wreszcie:

— Ja nie mam brata... Wcale nie mam brata...

Powieki opadły na oczy.

— Przypomnij pan sobie — nalegał Herbelle. Ale Givreuse nie odpowiedział ani słowa.

W godzinę później Herbelle prowadził dwóch lekko rannych żołnierzy z pułku ** do łóżka „pierwszego” Piotra Givreuse.

— Czy znacie tego człowieka? — zapytał.

— Naturalnie, że znamy — odparł jeden z żołnierzy. — Nazywa się Givreuse.

Lekarz obrócił się do drugiego.

— A wy?

— Napewno on... Nie jest wprawdzie z mojej kompanii, ale znam go dobrze.

— Czy był jaki inny Givreuse w tej samej kompanii?

— Inny?... Chyba, żeby był niewidzialny. Ja go przynajmniej nie widziałem.

— Ani ja.

— Nie słyszeliście nigdy, aby ktoś mówił o innym Givreusie, który jest zupełnie podobny do tego?

— Nigdy!

Herbelle melancholijnie pokiwał głową.

— Chodźcie za mną!

Poprowadził żołnierzy do „drugiego” Givreuse.

— Patrzcie!

Zrobili ogłupiałe miny.

— Ależ to wykapany, od czuba do pięt! — zawołał ten, który pierwszy rozpoznał rannego. — To jest ten sam!... Bliźniak!...

— Bliźniak!... — powtórzył kolega.

Dokor Herbelle milczał. Obaj żołnierze mruzczyli zdumieni.

— Nie!... Coś podobnego!...

Lekarz kazał im powrócić do swojego ambulanu.

ROZDZIAŁ II.

Pozostawali w stanie odrętwienia przez sześć godzin.

Przewieziono ich do Gavres, gdzie przybycie ich wywołało w szpitalu wielkie poruszenie, u kilku kobiet graniczące nawet z przestraszaniem.

Naczelnny lekarz szpitala, doktor Formentál, miał swoje powody, dla których nie umieścił ich w ogólnej sali.

Ten niezwykle wypadek zaciekał go i zdumiewał. Miał przed sobą podwójną osobowość ludzką.

Wspaniała i jednocześnie straszliwa tajemnica życia mogła mieć, wedle niego, jedno tylko rozwiązanie: śmierć bez jutra...

A jednak w duszy jego było pewne podłoże religijne.

W przeciwieństwie do doktora, naczelną pielęgniarką, Ludwika de Bréhannes, posiadała wiarę niezachwianą, wolną od wątpliwości i przenikniętą mistycyzmem.

We wtorek rano Ludwika de Bréhannes i doktor Formentál czuwalili koło postania jednego z dwu Givreuse'ów.

Nazwano go Givreuse I szy, aby go odróżnić od tamtego, którego zapisano jako Givreuse II gl. Żołnierz leżał nieruchomo, nieczuły na obecność ludzi, na głosy, na światło.

Sen jego był, zdało się, nienormalnie głęboki. Oddychał równomiernie i bez wysiłku. Piers podnosiła się rytmicznym ruchem.

— Ciepłota 37,1 — powiedziała Ludwika de Bréhannes. — Puls 75.

— Nie pojmuję tego — rzekł w zadumie Formentál. — Takie anormalne odrętwienie nie godzi się z równie normalnym stanem ciepłoty ciała.

— To jest poprostu dobry znak! — zauważyła Ludwika de Bréhannes. — Taki odpoczynek służy potrzebom ciała.

Uśmiechnęła się jakimś surowym uśmiechem. Ta wysoka kobieta, o błyszczących oczach, nosie nieco zadartym i ponsowych ustach, miała usposobienie despotyczne.

Dwie młode pielęgniarki stały niedaleko. Były wzruszone. Jedna z nich szepnęła:

— Takie długie uśpienia poprzedzają czasem reinkarnację.

Ta, która to powiedziała, nosiła imię Djany Montmaure i była zwolenniczką okultyzmu i spirytyzmu.

Formentál postłyszał:

— Jeżeli sprawozdanie dra Herbelle jest zgodne z rzeczywistością — odparł — to mamy tutaj do czynienia z czymś krańcowo przeciwnym do reinkarnacji. Jak dotychczas, ten niezwykle wypadek przekracza granice rzeczy zarówno klasycznie nadzmysłowych, jak klasycznie zmysłowych.

Co pan rozumie przez określenie: rzeczy klasycznie nadzmysłowe? — rzuciła szorstkim tonem zapytanie Luiza.

— Myślę o wszystkich zjawiskach religijnych, notowanych przez Naukę Objawioną i o wszystkich cudach mistycznych.

Pani de Bréhannes zaśmiała się cicho.

Pani się śmieje?... Niech pani pomyśli tylko: ci dwaj ludzie nie znają się wcale. Żołnierz pułku Nr. ** widywali jednego wyłącznie Givreuse'a, a tymczasem każdy z tych dwóch Givreuse'ów twierdzi, że urodził się w Avranches w r. 1889. Ich dokumenty osobiste są równie identyczne, jak ich osoby, a w końcu otrzymali oni te same, ale to absolutnie te same rany.

Djana Montmaure zauważyła niesmiało:

— Być może, jeden z nich jest sobowtórem drugiego?...

— Sobowtór?... Hm... To by'oby coś na kształt cienia, podczas gdy tutaj mamy do czynienia z dwoma jednakowymi ciałami.

— Oni obaj odznaczają się niezmierną lekkością ciała — wtrąciła druga młoda pielęgniarka — każdy z nich nie waży więcej niż dziecko.

Ta uwaga zastanowiła doktora Formentála.

— Trzeba ich zważyć — rzekła Ludwika de Bréhannes.

Doktor wydał odpowiednie polecenia.

Wózki, służące do przewożenia rannych do sali operacyjnej, zajęły po obu Givreuse'ów. Zważono ich.

— Trzydzieści siedem kilo, dwieście gramów... Trzydzieści siedem kilo dwieście piętnaście gramów... — oznajmił sanitaryusz, który nosił imię Karola.

— W praktyce jest to ten sam ciężar. W rzeczywistości waga anormalna. Tacy dobrze zbudowani ludzie!... Toż to połowa przypuszczalnej wagi — rzucił gorączkowo dr. Formentál. — Karol, trzeba ich zmierzyć!

Karol przyniósł aparat mierniczy, skonstruowany wedle najnowszych amerykańskich wzorów. Obu rannych zmierzono po kolei.

— Trochę mniej niż 1,74 — skonstatował Karol.

Doktor Formentál sprawdził bardzo starannie. — Tak... brakuje coś około dwóch milimetrów... No, a teraz drugi...

— Prawie równo 1,74 — powiedział Karol — może milimetr mniej.

W książeczce zanotowano miarę metr siedemdziesiąt cztery. Najmniejsza różnica w położeniu ciała może wyjaśnić te drobne wahania. Oni obaj stanowczo mają tę samą postawę i tę samą anormalną wagę ciała. Kończy się tutaj nasze zwykłe rozumowanie, bo zaczyna się logika tajemnicy, logika absurdu. A oni śpią ciągle!

— Bo jeszcze jakaś część ich istoty pozostała na tym samym świecie — szepnęła Djana Montmaure.

Nikt nie odpowiedział.

ROZDZIAŁ III.

Pod wieczór Djana Montmaure zasiadła przy łóżku Givreuse'a „pierwszego”. Jakaś mistyczna ciekawość pchała ją ku niemu.

Pilnie obserwowała jasną twarz rannego i marzyła o tych mrokach niezmiernych, w których toną gwiazdy i wszystkie istoty żywe.

Ona nie dziwiła się już. Czyż samo życie, choćby najprostsze, nie jest czymś, co przekracza granice najbujniejszej, najśmielszej wyobraźni ludzkiej?

Nagle zadrżała. Dwoje wielkich oczu, barwy szmaragdów, patrzyło na nią, a potem senny głos wyjąkał:

— Jestem jedynakiem...

Zmieszana zapytała:

— Dlaczego mi pan to mówi?

— Bo mnie o to pytano...

Szmaragdowe oczy wbiły się na chwilę w bladą twarz Djany, poczem zwróciły się w inną stronę. — Gdzie jest naczelnny lekarz?... Czy przeniesiono mnie na inną salę?...

Nachyliła się nad nim i łagodnym, słodkim głosem odpowiedziała:

— Nie, jesteście pan już w połowym szpitalu...

— Więc ja spałem?

— Tak jest.

— Czy długo?

Zawahała się, ale nie umiała kłamać.

— Dwa dni.

— Dwa dni!... — wyszeptał, silnie poruszony — ależ to okropne!... A tak, wiem... moje rany... Dostałem w głowę i... gdzie jeszcze?

— W nogę.

— Tak... w nogę... Czy moje rany są niebezpieczne?

— O, bynajmniej.

— Więc będę mógł pisać?

— Jeszcze nie teraz... trochę później.

— Parę słów tylko... do matki i...

Przerwał i znowu wpatrzył się w Djane, tym razem badawczo.

— Czy siostra jest pewną?... Niema niebezpieczeństwa?...

— Doktor twierdzi, że nie.

Umilkł. Oczy miał ciągle jeszcze zmacone. Twarz zeszywniała i jakby widmowa.

— To dziwna rzecz... ten długi sen — zauważył po chwili. — Powinienbym czuć się wypoczętym, tymczasem jestem niezwykle znużony i taki słaby... słaby...

— To zupełnie zrozumiale.

— Zrozumiale? Być może. Jednakowoż zdaje mi się, że przydarzyło się coś nadzwyczajnego.

— Dlaczego się panu tak zdaje? — podchwyciła żywo.

— Sam nie wiem... takie mam wrażenie. Wszystko wydaje mi się niesłychanie dalekie n... o. tak dalekim...

Dalekim... w przes'zeniu?

— Nie wiem. To tak jakby istniała jakaś przepaść bezbrzeżna pomiędzy chwilą, kiedy zostałem ranny, a dzisiejszym dniem.

Przez minutę oboje milczeli, pogrążeni w zadumie.

— Pić mi się chce — rzekł wreszcie ranny.

Podala mu napój. Pił chciwie, a potem zapytał:

— Zwyciężamy jeszcze ciagle?

— Zwyciężamy.

Uśmiechnął się łagodnie.

— Myślałem, że nadszedł już czas ostatni, że Francja umiera. Co nas ocaliło? Jaka siła zbudziła się w łonie ziemi francuskiej? Czy może w sercach ludzi?...

Głos jego był łamliwy, słaby, poważny, jednak o jakimś nieokreślonym odcieniu. Przypominał wodę, która w oddali gdzieś spada po kamieniach w przepaść.

(Ciąg dalszy nastąpi)